KOŚCIÓŁ Śgo JANA LATERAŃSKIEGO W RZYMIE.



Z trzystu sześćdziesięciu kościołów Rzymu, po świątyni imieniem świętego Piotra nazwanéj, najgodniéjszym uwagi jest bez wątpienia kościół Sgo Jana Laterańskiego, katedralny papieża, w którym stolicy apostolskiéj dzierżenie obejmuje. Kościół ten jest naczelnym czyli pierwszym całego wyznania Rzymskiego; dlatego też, na głównych jego podwojach, następny napis jest umieszczony: Omnium urbis et orbis ecclesiarum mater et caput, to jest: Matka i głowa wszystkich kościołów Rzymu i całego ziemi okręgu. Kościół ten otrzymał swe nazwanie od imienia starożytnéj rodziny laterańskiéj, posiadającéj stojące tu budowy, aż do czasów Nerona, który ostatniego jéj dziedzica Plautiusa Lateranusa, stracić kazał i dobra jego zagarnął. Podobno cesarz Konstanty Wielki, około roku 312, papieżowi Melchiadesowi czyli Miltiadesowi darował ten pałac, który od Nerona był własnością cesarzów; w nim roku 313 wspomniony wyżéj papież sobor odbywał. Pałac ten, przez lat blisko tysiąc, był mieszkaniem zwierzchników kościoła, aż do 1307 roku, w którym rezydencyą swoję do Avignon'u przenieśli. Obok

tego pałacu, wzniósł Konstanty kościół tegoż imienia, który chociaż niesłusznie pospolicie Laterańskim się nazywa, równie też jak i źródła niedaleko się z tąd znajdujące. Po dwakroć kościół ten gorzał w roku 1308, za Klemensa V i 1361 za Innocentego VI; jednakże Innocenty X (1644-54) całkowicie go odbudował. Jedynaście soborów tu się odbyło, z których najważniéjsze były następne: 1) Pod papieżem Kalikstem II, 1122 lub też 1123 roku; 2) za Innocentego II, roku 1139; 3) 1179 r, za Aleksandra III; 4) sobor nazwany wielkim, z powodu, iż bardzo był liczny, za Innocentego III, 1215 r.; znajdowali się na nim patryarchowie Konstantynopolitański i Jeruzalemski, 71 arcybiskupów, 340 biskupów, i około 800 przeorów, opatów i t. d. 5) od 1512-17 pod Juliuszem II i Leonem X.

Lecz nie dla samych tylko historycznych powodów i odległéj swéj starożytności, kościół ten godzien jest uwagi; zaleca się on nadto pyszną budową, a nawet pod względem wspaniałości, Sgo Piotra przewyższa. Jest to bazylika z pięciu części złożona, złoto i marmur bogato ją zdobią, posadzka nawet z prześlicznego jest marmuru. Sklepienie spoczywa na 336 słupach we cztery rzędy ustawionych. Szkoda tylko, że Klemens XII, wielkie słupy z filarami przekształcić kazał, albowiem przez to ogół budowy wiele stracił na piękności. Wiele słupów są z granitu i z verde antico (marmur ciemno zielony) z bogato złoconemi bronzami, dwa zaś z Giallo antico (afrykański marmur żółty). Szczególniéj szykownością rozmiarów zadziwia odnowiona kaplica Corsini, którą Aleksander Galilei, odbudował. Obrazy w ołtarzach są z mozaiki, podług malowideł Guida Reni wykonane; pod posągiem papieża Klemensa X stoi sarkofag porfirowy, w Panteonie znaleziony, który miał zawiérać popioły Agryppy, przyjaciela Cesarza Augusta. Przed jednym ołtarzem stoją cztery z brązu odlane słupy rzymskiego porządku, któremi Tytus świątynię kapitolińskiego Jowisza niegdyś był przyozdobił, i które, według powieści, z kościoła Jerozolimskiego zabrał; podobniéjszą rzeczą do prawdy być może, że ze znalezionego tam brązu, kazał je odlać. Przysionek zdobią cztéry ogromne słupy z białego marmuru, rzymskiego porządku; piękne spiżowe podwoje godne są podziwienia. Nad przysionkiem znajduje się galerya, z któréj papież daje ludowi błogosławieństwo. Każdy nowo obrany papież, udaje się w kawalkadzie, (tak się nazywa processya na koniu) do tego kościoła, obejmuje nad nim rządy i tamże jest koronowany. Przy głównym ołtarzu tylko najwyższy kapłan może mszę odprawiać, albowiem w nim znajduje się ołtarz drewniany, przy którym, według podania, Piotr apostoł mszę odbywał. Kościół ten bogaty jest w relikwie; do nich należą: głowy SStych Piotra i Pawła, Purpura Chrystusa Pana, trzcina którą Go bito, a nawet i Swięta krew Jego, oraz wiele innych.

Na placu laterańskim stoi inna kaplica, w któréj znajduje się tak nazwane Scala santa, czyli święte wschody, z 28 stopni złożone, zrobione z białego marmuru; po których Zbawiciel do pałacu Kaifasza wstępował, i jakie wierni na klęczkach przebywają, oraz wspaniała kaplica chrztu (Baptiserium), któréj kopuła wspiéra się na ośmiu pięknych z porfiru kolumnach. Pałac laterański za Sykstusa V (1585-90) Fontana odbudował, od roku 1693 zamieniony został na szpital dla ubogich i dosyć jest teraz opuszczony. Przed kościołem stoi największy i najdawniéjszy z jedenastu obelisków Rzym zdobiących, który Germanicus do tego grodu miał sprowadzić.

GROBOWIEC ENGELBERTA VON NASSAU W KOSCIELE MIASTA BREDY.

Obacz Magazynu Powsz. Nr. 43 *r.* 1838.

Engelbert hrabia Nassauski, rządca Brabancyi, należał do rzędu najznakomitszych ludzi swojego czasu. Karol, ostatni książe Burgundski, który zasługi i męztwo cenić i na swoją korzyść obracać umiał, szczególniéjszemi względami go zaszczycał, i nieograniczone zaufanie w nim pokładał, które, oceniając hrabia, najwierniéjszém przywiązaniem mu odpłacał. Karol w roku 1473, mianował go kawalerem orderu złotego runa, który Filip, ojciec Karola, ustanowił; ozdobę tę owcześnie za największy zaszczyt uważano. Engelbert dostał się w niewolą, w bitwie pod Nancy, 2 stycznia 1477 r. gdzie Karol ze wszystkiemi prawie swoimi wojownikami walecznymi poległ. Ponieważ książe nie zostawił żadnego po sobie płci męzkiéj potomka, przeto Ludwik XI król francuzki, pragnąc Burgundyą zawładnąć, usilnie nalegał na Engelberta Nassauskiego, jako najwaleczniéjszego rycerza i zewszech miar szanownego męża w kraju, ażeby go skłonić ku sobie; jednakże usiłowania jego bez

skutku pozostały. Engelbert powszechnie od współczesnych żałowany, umarł 1504 roku.

Protestancka katedra w Bredzie w północnéj Brabancyi, początkowo nosiła nazwanie Najświętszéj Panny i dopiéro w r. 1637 przez generalne stany, protestantom oddana została. W niéj znajduje się wiele pięknych pomników, pomiędzy któremi grobowiec Engelberta i jego małżonki, księżniczki badeńskiéj, szczególniéj się odznacza. Wyobrażenia ich obojga są z pięknego alabastru; posągi osób przyklękających, utrzymujące płytę, na któréj spoczywają herby hrabiego, mają przedstawiać bohaterów starożytności, jako to: Juliusza Cezara, Regulusa i t. d. Posągi te według podania są dziełem Michała Angelo, i kunsztowne ich wykonanie, jeżeli tylko powieść jest prawdziwą, mistrzowi temu niesławy bynajmniéj nie przynosi.

PODRÓŻ
DO
BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

Grenlandya. Znakomitsze jéj zwierzęta, ptaki i ryby etc. Odjazd do wyspy Karola. Przeszkody. Przybycie do Szpitzbergu.

Cale nie mieliśmy zamiaru zatrzymać się w Grenlandyi, życząc jak można najwcześniéj dostać się do Szpitzbergu, przepędzić tam zimę, a następnie korzystać z całéj ciepłéj pory roku, aby się najdaléj ku biegunowi posunąć. Psy nasze cierpiały w ciasném swém więzieniu, zdało się więc potrzebną rzeczą, wysadzić je na ziemię, dla nastręczenia im kilkodniowego ruchu. Zwróciliśmy więc nieco ku południowi i 30 Czerwca przybyliśmy do lądu. Nie znaleźliśmy tu żadnych śladów ludzkiego pobytu; kraj przedstawiał wszędy obraz samotnéj pustyni i nosił piętno ponurego smutku. Wysłałem kilku ludzi z ekwipażu, na zebranie trochy ziarn z roślin w téj okolicy żyjących; jakiemi są, pewne gatunki skarłowaciałych krzewów, które się tu po ziemi ścielą. Niezważając na smutek, obudzony widokiem téj okolicy, doświadczałem niejakiéj przyjemności idąc po lądzie; wziąwszy więc mą strzelbę, zwróciłem się na miéjsca, zgoła śniegiem nie pokryte; chociaż przystęp do nich, bardzo utrudzało mnóstwo jam napełnionych wodą. Roślinność tutejsza ogranicza się małą ilością karłowatych krzaków, i wielą gatunkami mchów rozmaitych, które tu najcelniéjszym i ostatnim są jéj płodem. Gdy woda zejdzie z jakiegobądź miejsca, z pierwszych usiłowań roślinności mech powstaje, i gdy znowu tak się wody oddalą, że skutkiem niedostatku wilgoci, z czasem wyczerpie się żyzność gruntu, jak się to przytrafia na wierzchołkach gór i w tych strefach północnych, gdzie nieprzerwane panują zimna, mech jest znowu ostatnim wysiłkiem, jaki obumierające wydaje przyrodzenie. Szedłem daléj okrążając podnóże stroméj góry, któréj barki pokryte śniegiem, najżywszym blaskiem od słońca jaśniały; w tém niedaleko od siebie ujrzałem zwierze doskonałéj białości (jak prawie wszystkie podbiegunowe). Skubało kupkę trawy, którą z pod śniegu łapkami wykopało, i już brałem je na cel, gdym postrzegł szlachetniéjszą zdobycz, z szybkością wiatru skaczącą ze skały. Był to Renifer najśliczniéjszéj postaci. Z największą łatwością wziąłem go na cel, i pod wystrzałem upadł natychmiast; rzuciły się nań psy moje, i szarpać go zaczęły; z największą trudnością za pomocą bicia zdołałem je odpędzić, w końcu trzeba było odprowadzić je na okręt, dla zabrania mojéj zdobyczy. Mięso zwierza tego było dla nas wyborną ucztą; zwierzyna ta z trochą zebranych owoców stanowiła całą zdobycz, którąśmy z téj okolicy unieśli, wkrótce albowiem, to jest 2 Lipca rozpuściliśmy żagle, zmierzając w północno-wschodnim kierunku.

Renifer dziki, utrzymuje się w najzimniéjszym klimacie; jest rączy, a mieszkańcy południowi zaprzęgają go do swych sanek. Kolor ma brunatny lub szary, brzuch biały, sierść bardzo gęstą, która długością cal przechodzi: rogi jego podobne są do danielich, lecz więcéj połyskujące, szare i z dłoniastém rozszerzeniem, 1 i pół piędzi wyrównywające. Na wiosnę linieje i dostaje sierści krótkiéj. W téjże porze roku, zwiérze jest bardzo chude, a skóra jego mało warta, bo jest cienka; z powrotem jesieni tyje, i długim włosem obrasta. Podczas lata chciwie pasie się nową trawą rosnącą po dolinach, a w zimie żywi się mchem białym, któren gryzie dobywając go z pod śniegów. Gren-

landzkie zające są białe i dość duże, znajduje się u nich nieco tłustości pomiędzy skórą a mięsem. Żyją trawą, ziarnem i mchem białym. W tych strefach znajdują się także lisy, wielce do psów podobne, których pokarmem są ryby, ptaki i jaja. Niema tu innych zwiérząt drapieżnych, prócz białych niedźwiedzi, które nader są dzikie i niebezpieczne. Żeśmy ich tu nie widzieli, przeto opiszę je winném miejscu. Ptastwo zawsze jest najliczniéjsze w klimatach od człowieka niezamieszkanych; woda, powietrze i ziemia, bez różnicy doń należą; ztąd więc, tam nawet żyć może, gdzie inne zwierzęta bez pochyby giną. Piérwszym z ptaków lądowych jest tu pardwa, potém następuje ptastwo wodne, jako to: dzikie gęsi, rozmaite alk, petrelów, nurów i kaczek gatunki, między ostatniemi na szczególniéjszą uwagę zasługuje kaczka erdredonowa; przy dosyć kształtnéj postawie, daje mięso bardzo posilne, a jaja jéj w wielkiéj mnogości tu się znajdują. Ptak ten, jak wiadomo, odznacza się delikatnością swojego puchu, który jest bardzo ceniony, chociaż mało daje ciepła; użyty do pościeli, niedobrze ją nadyma, co mu zjednało miano nieżyjącego pierza. Najlepszy puch jest wzięty z piérwszego gniazda, który czułe matki same sobie wyrywają, na posłanie miękkie i ciepłe dla swych dzieci. Znajduje się on zmięszany z różnemi nieczystościami, ale łatwo daje się od nich oddzielać. Gdy się im zabiorą jaja, niosą je aż do pięciu razy, i za każdym, puchem swym wyściełają gniazdo. Nigdy nie latają wysoko i zawsze pilnują się biegu wody; rzadko widzieć się dają na wiosnę, gdyż wtedy niosą jaja, lecz w czasie zimy wychodzą z zatok w licznych stadach, i zmierzają ku wyspom na szukanie żywności, głównie składającéj się z konch rozmaitych.

Do ptaków nader tu pospolitych należy nurek, głowę ma ciemno-szarą, grzbiet popielaty, a brzuch biały. Samica składa swe jaja na brzegu stojącéj wody, i stale na nich siedzi, nawet gdy gniazdo morze zabiéra. Zowie się także letnim ptakiem, albowiem go nigdy niewidać pierwéj, aż nim nastąpi trwała odwilż; jest to pewny poprzednik lata. Krzyk jego uważają także za przepowiednię deszczu lub pogody, w miarę tego jak jest krótki i żałosny lub też przeciągły i wesoły. Rodzaj mewy, jest tu nader liczny, najczęstszy jednak gatunek stanowi mewa kasztanowata od hollendrów burmistrzem zwana: lecz oprócz niego mnóstwo jest i innych tego rodzaju gatunków, różniących się między sobą wielkością i ubarwieniem pierza. Wszystkie mają dziób długi, cienki, przy końcu zakrzywiony, u wierzchu zakończony ostrzem, podobnym prawie do haku, co im nadaje wiele siły i łatwości do porywania zdobyczy; czatują na nię unosząc się w powietrzu na długich swych skrzydłach, i jak tylko spostrzegą, rzucają się ku niéj lotem sokoła. Lubo mają dar nurkowania, rzadko je widzieć można na wodzie, wyjąwszy przypadek, gdy nazbyt daleko od lądu odlecą. Najczęściéj unoszą się nad niskiemi skałami, czatując na ryby, które tam morze wyrzuca.

Największa szerokość północna, zdaje się wydawać najogromniéjsze i najtłustsze ryby. Śledzie wychodzą ze stref niedostępnych lodów, w niezliczonych gromadach; nie można jednak wiedzieć, czemu przypisać należy takie ich wędrówki. Bydź może, iż niezmierna ich liczba, zmusza je do rozsypania się w niezliczonych orszakach, gdy im zaczyna braknąć pożywienia; można także wnosić, że instynkt wiedzie je dla tarcia się w klimat ciepléjszy, lub też tylko dla szukania w nim pokarmu, w téj porze roku właściwego. W wędrówkach tych ścigane są od stokfiszów, wrzecienic i innych ryb żarłocznych. Niemniéjszych nieprzyjaciół mają w fokach i wielorybach, przed któremi uciekając, nader często wpadają na mielizny lub też do zatok i portów, przy pobrzeżach położonych.

Liczba śledzi tak jest wielka, że koło Norwegii w przestrzeni dwóch do trzech mil kwadratowych, dwieście lub trzysta rybackich okrętów, za jedném zarzuceniem sieci zagarnęło ich około 10,000 quarterów (*).

Możnaby wnosić, że tak ogromne połowy zniszczenie gatunku kiedyś sprowadzą; lecz z tą zagładą miljonów śledzi, bądźto przez ludzi spotrzebowanych, bądź w daleko jeszcze większéj ilości od zwierza wodnego pożartych, bardzo wyraźnie dziwna się ich płodność równoważy; albowiem wyliczono, że jeden śledź dziesięcio-tysiączne potomstwo wydadź może. Ta zadziwiająca płodność wspólna jest wszystkim rybom, służącym dla innych na pokarm, wtedy gdy ich nieprzyjaciele czyli ryby żarłoczne, rodzą się tylko w małéj liczbie. Żarłok *np.* wydaje ledwie czworo na rok potomstwa. W téj nadzwyczajnéj okolicy, zboże nigdy ziarna nie daje, wyrasta w trawę podczas

(*) Miara angielska zawierająca 64 gallonów.

krótkiego lata, lecz kłosów nie przynosi. Zdołano tam uprawiać niektóre sałaty, i rzepę wielkości gołębiego jaja; a z całego królestwa roślinnego, jeden tylko gatunek czosnku dojrzewać może, a nawet opiera się ostrości zimy. W niektórych miejscach w Grenlandyi, znajduje się kamień do wyrabiania naczyń przydatny. Ten, według wszelkiego podobieństwa, należeć powinien do gatunku zwanego steatytem czyli słonińcem. Leży on pomiędzy skałami i znajduje się w warstach dość szerokich i grubych, powierzchnię zewnętrzną składa skorupa zbita, jasno szara, usiana plamami pochodzącemi, jak się zdaje, od zeszklonego amiantu. W ogólności, kamień ten jest nieprzezroczysty, koloru popielatego, wodno-zielonego, lub też cieniowany w paski czerwone i żółte, dość powabnie wyglądające. W dotknięciu delikatny i tłusty; nader łatwo nożem obrabiać się daje, owszem zębami gryźć go można. Dosyć jest ciężki i mocnego spojenia, a ponieważ w składzie swoim jest zbity, przeto od mass większych, kawałki jego z trudnością oddzielać się dają. Oliwą natarty, przybiera piękny polor i w ogniu twardnieje. Dlatego też Grenlandczykowie wyrabiają z niego kociołki, lampy i inne naczynia, gdyż pokarmy w nich przyrządzane, daleko są zdrowsze od tych, jakie się w miedziannych gotują.

Podczas naszego pobytu w Grenlandyi, termom. nie przechodził 38 stopni, a w nocy zstępował pod zero. Wtenczas napotykaliśmy często bryły lodu, które były oddzielone od głównéj jego massy i w rozmaitych przedstawiały się postaciach; z pewnéj odległości postrzegane, wyglądały nakształt okrętów, drzew, budowli lub też gór wyniosłych. Pomiędzy temi lodami, znajdowało się mnóstwo pływającego drzewa. Probowaliśmy głębiny i nieznaleźliśmy dna wcale, liną 300 sążni długą.

Dnia 3 Lipca mieliśmy wiatr lekki i pogodę jasną; w północ równie było jak w południe światło, dla niezachodzącego w téj epoce słońca. Raz byliśmy otoczeni pływającemi lodami, rozlegającemi się jak sięgnąć okiem, i wtenczas to właśnie trzeba było całéj mocy postanowienia, aby niedbać na grożące niebezpieczeństwo, zamknięcia się w tym nieprzebytym obwodzie. Drugi raz, jakby przez czary, lody się na wszystkie strony rozpierzchły, i mogliśmy daléj płynąć bez żadnéj przeszkody. Bryły lodu miały od czterech lub pięciu aż do czterdziestu i do piędziesięciu prętów rozległości; a największe mogły się pogrążać do trzydziestu i więcéj stóp pod powierzchnią wody. Niepodobną jest rzeczą, aby tak ogromne massy, mogły być dziełem jednéj tylko zimy; można mniemać, że te lody początkowo kształcą się w rzekach, zatokach, pobrzeżnych portach i około licznych archipelagów w owym północnym klimacie rozsypanych, i że późniéj przez rozmaite przyczyny od nich oderwane, na pełne morze wypływają. Nowe wyspy lodów, jedne po drugich corocznie się kształcą, i z kolei się odrywają; uniesione wiatrem błądząc tu i owdzie, skupiają się jedne na drugie, tym sposobem stopniowo wzrastają, w miarę zbliżania się ku południowi. Słońce zdaje się mało przyczyniać do zmniéjszenia tych brył ogromnych; albowiem, chociaż nad widnokręgiem przez znaczny przeciąg czasu zostaje, jednakże rzadko wciąż kilka godzin przyświeca; owszem częstokroć dni kilka zakryte chmurami widzieć się nie daje.

Same tylko wały morskie nieustannym swym ruchem zmniéjszyć mogą niezmierzony ogrom tych lodów; albowiem miotając niemi, już to jedne o drugie druzgocą, już ciągle je podmywając grubość ich znacznie zmniéjszają, jak o tém przekonaliśmy się dowodnie, uważając, że wyższa strona kilku takich brył lodu, o którą uderzały fale, była w części zniszczoną wtenczas, kiedy reszta zachowała swą trwałość aż do głębokości kilku sążni. Razu jednego żeglowaliśmy swobodnie ponad ogromną massą lodu, która na 60 stóp pod powierzchnią wody się zanurzyła. Następnie żeglując bez wszelkiéj przygody, napotkaliśmy kilka statków trudniących się połowem wielorybów. W czasie tego spotkania znajdowaliśmy się pod 78° 10' szerokości; a powietrze mieliśmy nadzwyczajnie zimne.

Lipca 10 ukazała się wyspa Karola; stanęliśmy więc dla zbadania góry zwanéj Parnasem, któréj wyniosłość wyrachowano na 3,960 stóp nad powierzchnią morza. Była pokryta śniegiem, a widziana z daleka, miała podobieństwo dawnéj budowy ze sterczącą wieżą. Wiele jest podobieństwa, że niegdyś była wulkanem i że kilka wysp na tym morzu położonych, winne są swój początek wybuchom wulkanicznym, albowiem ogień ślady swoje na nich zostawił.

Okrążywszy przylądek-zimny (Cape-Cold) zarzuciliśmy kotwicę w miejscu na piętnaście sążni głębokiém i odległém około trzech mil od lądu; tam spotkaliśmy okręt hollenderski, już wracający, a kapitan okrętowy chę-

tnie nam wskazał kilka źródeł wody słodkiéj, abyśmy zrobili obfity z niéj zapas. Korzystaliśmy z téj rady i woda była wyborna. Co do naszéj wyprawy, kapitan mniemał, że tego roku niemożemy daléj się posunąć nad dwa stopnie ku północy; a gdyśmy oświadczyli mu nasz zamiar, udania się na zimę do Szpitzberga, zdawał się patrzéć na nas, jak na gromadę szaleńców i oświadczył gotowość odwiezienia do Amszterdamu ostatnich rozporządzeń naszych.

W dniu następnym morze było dość żeglowne, przygotowaliśmy się więc do drogi i pożegnaliśmy naszych hollendrów. O drugiéj z południa sonda w głębokości piętnastu sążni, natrafiła na dno skaliste. Ciężka mgła nas otaczała, wtém usłyszeliśmy trzask straszliwy i zaraz wnieśliśmy, że to nieco innego jest, tylko łoskot pochodzący ze starcia się i uderzenia lodów, mogący być słyszanym na kilka mil w około. Z wieczora o wpół do dziesiątéj napotkawszy massy lodu rozciągające się od strony północno-zachodniéj do wschodnio-południowéj, zmuszeni byliśmy umykać przed niemi. O wpół do pierwszéj, straciliśmy je już z oczu, (trzeba pamiętać, że niemieliśmy nocy.) O wpół do szóstéj, gdy mgła się koło nas zgęściła, stanęliśmy i byliśmy znowu ściśnieni lodami, co nas nabawiło najżywszéj niespokojności. Postrzegłszy, że się te bardziéj zwiększały od strony wschodniéj, odpłynęliśmy ku zachodowi, lecz obrót ten największém groził nam niebezpieczeństwem, albowiem okręt nasz łatwo od uderzenia mógł się roztrzaskać. W żadnym kierunku niemogliśmy postępować bez wielkich trudności, gdyż lody tak się skupiły, że okręcały okrętem jakby wir jaki.

Dnia 12 spuszczono na morze szalupę, dla torowania drogi okrętowi na wązkiéj przestrzeni między lodami położonéj, lecz ta, tak gwałtownie była naciskana, że się nam zdało niepodobną rzeczą, aby mogła długo się opierać; sami zaś niemogąc więcéj wytrzymać uderzeń ogromnych brył otaczających okręt, musieliśmy użyć kotwic i drągów dla otworzenia sobie przejścia.

O wpół do dziesiątéj z wieczora, lody poczęły się rozchodzić, a my trelowaliśmy raz drugi z szalupą, i zdołaliśmy w ten sposób, lecz nie bez trudu, opłynąć ogromny cypel, do głównéj massy należący; nakoniec, znaleźliśmy się na wodzie nieprzedstawiającéj żadnéj w żegludze zawady. O dziesiątéj przeto wciągnęliśmy szalupę do okrętu. Pracując nad wyzwoleniem się z tego zastraszającego położenia, gdy po raz pierwszy groziło nam niebezpieczeństwo zostać zgniecionemi od lodów, złamaliśmy jedną z naszych kotwic i strzaskaliśmy część naszéj rufy.

Często się zdarza, że okręta zamknione wśród lodów, rozbijają się o te zsiadłe płaszczyzny, które popychane gwałtownym wiatrem, od skał są niebezpieczniejsze. Niekiedy też bywają strzaskane upadkiem lodów, które spiętrzywszy się jedne nad drugiemi wysoko nad poziom okrętu się wznoszą. W takim przypadku niebezpieczeństwo jest nieochybne. Niekiedy można napotykać stosy lodów tak wysokie jak góry, te się spotykając jednoczą razem i kształcą owe zadziwiające massy, które w stronie południowéj często widziéć można pływające w tysiącznych kierunkach, podług wiatru i ruchu wałów podnoszącego się morza. Doświadczenie jednak przekonało, że lody pływające są najniebezpieczniéjsze; oto jeden przykład. Bardzo często rybacy przytwierdzają statki swoje do skupionych lodów, które w pewnych porach roku nieruchome zdają się przytykać do lądu; lecz nieraz się wydarza, że wiatr nagle zmieni kierunek, lub powstanie burza, wówczas pływające lody z taką na nich uderzają szybkością, że w chwili, gdy się sądzą najbezpieczniéjszymi, rozbici i zatopieni bywają. Prawdziwie trzeba podziwiać ogromowi lodów, które się w przeciągu jednéj godziny zbierają, a to z takim łoskotem, iż niepodobna słyszéć mówiących.

Zimno było przerażające, termometr w samo południe spadł niżéj zera, a jednak było to w połowie Lipca. Snieg połączony z mgłą i deszczem w nadzwyczajnie wielkiéj padał obfitości; majtkowie wyczerpali swe siły i pomimo wszelkiéj ostrożności, nie mogliśmy uniknąć trącania się o góry lodowe, które nas otaczały. Dnia tego żeglowaliśmy w stu odmiennych kierunkach, korzystając z przerw w lodzie zrobionych, a lody rozciągały się na przestrzeni wód tak daleko, jak tylko można było dojrzéć z wierzchołka wielkiego masztu.

O ile tylko dozwalało nam położenie miejsca, staraliśmy się popłynąć ku północowschodowi i 17 Lipca ujrzeliśmy przylądek Hacluit, o 6 lub 7 mil (lieux) w stronie południowo-zachodniéj pod 80° 2' szerokości położony. Dnia 18 czas był jasny i pogodny; okręt nasz szedł prądem zachodnim, bardzo gwałtownym; o 8 wieczorem zarzuciliśmy kotwicę na czterdziesto-sążniowéj głę-

bokości, lecz za zerwaniem się wiatru wschodniego musieliśmy ją podjąć, a w dniu następnym zawinęliśmy do przystani Smearingburgh; skała widłowata (Cloven-Clif) została za nami o milę i ćwierć na południe, a cypel zachodni Woogle-Land o półtory mili w stronie północno-wschodniéj. Spuszczona ołowianka pogrążywszy się na 15 sążni, spoczęła na dnie piasczystém.

STAN PIERWIASTKOWY NASZEGO GLOBU, EPOKI STWORZENIA JEGO, I RÓŻNE ZMIANY JEGO POWIERZCHNI.

Z Bequerela najnowszego dzieła o Elektryczności, tłumaczone

przez JOZEFA ŻOCHOWSKIEGO,

Magistra Filozofii i Administracyi, wykładającego Fizykę w Gimnazyum Imienia Zamojskich w Szczebrzeszynie. Dnia 3 Grudnia 1838 roku.

(*Dalszy ciąg*).

Warstwy z których się składa zwierzchnia pokrywa naszego globu, nie wszystkie uformowane z tychże samych substancyj, ani tychże samych gatunków istot organicznych. Najpierwszy wniosek, który stąd wypada jest ten, że w różnych epokach ich formacyi, powierzchnia globu i stan atmosfery nie były też same, ale jak pierwsze, tak drugie zmieniło się następnie. To postrzeżenie jest godne zachowania w pamięci jeżeli chcemy wytłumaczyć zmiany, których doznały substancye złożone w rozpadlinach i innych przepaściach. Może biorąc to zapytanie w sposobie odwrotnym, kiedy te zmiany dostatecznie będą już poznane, wzniesiemy się kiedyś do przyczyn, które je zrządziły, to jest do poznania stanu atmosfery i powierzchni globu w rozmaitych epokach. Te poszukiwania do których wskazania się tylko ograniczamy, wchodzą w obręb elektryczności i chociaż przedstawiają wielkie trudności, nie potrzeba jednak myśleć, żeby były bezużytecznemi.

Z drugiéj strony, wody niezawsze się zlewały zwolna jak formacye warstw zdają się dowodzić, osady bowiem szczątków organicznych (Cataclysmes), które góry poformowały, zepchnęły z czasem wody z siebie, i rzuciły je na nowe niziny. Żnajdowanie się w morzach lodowatych, północnych wielkich zwierząt czworonożnych, których gatunki już nie istnieją, i które zostały zachowane od zepsucia przez wiele wieków, jest dowodem przelewania się wód na powierzchni globu.

Te powierzchnie oschłe w rozmaitych epokach, pokrywały się bogactwem roślin, z których uformował się czarnoziem, jeszcze się go i znajdują ślady w miejscach, które nie były zmienione przez następne rewolucye.

Z drugiéj strony, woda morska stykając się z wielką liczbą istot, które wprzódy wystawione były na działanie atmosfery, któréj skład nam nieznany, musiały skutkować na nie, z czego powstały nowe produkcye.

Wszystko dowodzi, że massy, które formowały najwyższe góry, były początkowo płynne, albo w stanie gazów, ponieważ napotykamy krystalizacye, które nie mogły powstać tylko z istot rozpuszczonych w płynie albo w ogniu. Można wszakże otrzymać kryształy ciał złożonych bez przywodzenia ich wprzódy do stanu płynnego lub gazowego jak o tém mieliśmy sposobność mówienia.

Mówią bardzo słusznie, że natura nie działa teraz tak silnie, jak działała przedtém, bo też i okoliczności nie są teraz też same. Temperatura przedtém była daleko wyższa, atmosfera zawiérała podobno pierwiastki, których niemasz teraz, i znajdowało się także według prawdopodobieństwa w wodzie wiele soli rozpuszczalnych, które przez swoje działania na ciała je otaczające, utworzyły mnóstwo ciał złożonych, nierozpuszczalnych, które wchodzą w pokłady ziemi, a z których nie jedne doznawały i doznają powolnych rozkładów, których my przyczyny i skutków będziemy dochodzili.

Powinniśmy i to dodać, że ciśnienie atmosfery w owych czasach upłynionych, było daleko większe niż teraz, musiało więc ono wpłynąć i na ilość soli rozpuszczalnych w wodzie, a tém samém usposobić je do wywarcia mocnego działania na massy, z któremi się stykały, z czego powstały nowe związki.

(*Dokończenie nastąpi.*)

OKOLICE ALGIERU.

Ogrody maurytańskie mają w sobie coś prawdziwie czarodziejskiego, jednakże nie są to wcale kunsztowne zakłady: w nich samo przyrodzenie bogatą, a właściwą tylko sobie pięknością, wszelką sztukę przewyższa



BOGARODZICA, PODŁUG MURYLLA.
(*Ob.* 23 *Nr. Mag. Powsz. r.* 1834).

i pod otwartém niebem, w stanie dzikości, rozwija najpowabniejsze rośliny, którychbyś napróżno w szklarniach naszych szukał. W tych maurytańskich sadach, obok szlachetnych owocowych drzew południa, wznosi się i na wszystkie strony woń rozsyła cudowny świat kwiatów, tysiączną jaśniejący barwą; pośród skupionych gałęzi olbrzymiego jak dąb lauru, tłuszczy słowików i innych europejskich ptaków, wywodzą piosnki wesela i miłości. Bogactwo i obfitość królestwa roślinnego, przechodzi wszelkie wyobrażenie, i podziw cię obejmuje, gdy spojrzysz na ogromne drzewo granatowe, którego pyszną barwę liścia, zdobią niezliczone purpurowe kwiaty, w niczém nieustępujące pięknością bukietom kaktusa, philantus zwanego. Słowem, okolice tamtejsze oczarują ci zmysły i do krainy zniklіwych marzeń uniosą.

w WARSZAWIE, NAKŁADEM I DRUKIEM JANA GLÜCKSBERGA, PRZY ULICY MIODOWEJ Nr. 482.